

M A R E K S T E L A R

OŁOWIANE ŻOŁNIERZYKI

POKÓJ TO TYLKO CZAS MIĘDZY KOLEJNYMI WOJNAMI,
KTÓRE NIGDY SIĘ NIE KOŃCZĄ

FILIA

M A R E K S T E L A R

OŁOWIANE ŻOŁNIERZYKI

FILIA

Z Wielkiej Wojny wyszedłem okaleczony. Niektórzy wracali cali, inni bez kończyn, oślepieni, poparzeni fosforem, z płucami przeżartymi gazem musztardowym, poharatani odłamkami szrapneli, z przetrąconymi kręgosłupami, także tymi moralnymi, albo pozbawieni zdrowych zmysłów. Wracali w blasku chwały bohaterów albo śmiertelnie zmęczeni tym strasznym znużeniem, którego nie zmyje sen, sanatorium czy życie z rodziną. Wybierali więc skuteczne lekarstwo, jakim był samogon albo sznur z pętlą, przy czym często to pierwsze było tylko drogą do tego drugiego. Jedyną moją pamiątką z tych koszmarnych czasów jest proteza lewej stopy, którą z powodu gangreny lekarze z lazaretu odjęli mi nieco powyżej kostki w trzecim roku wojny. A najzabawniejsze, choć tak naprawdę nie ma w tym nic zabawnego, jest to, że nie dane mi było nawet powąchać prochu w okopach, usłyszeć huku dział i bitewnego zgiełku. Eilhard Kurtz, syn weterana wojny prusko-francuskiej stracił stopę przez chłopą, który w akcie beznadziejnego protestu przeciwko przymusowej aprowizacji wbił powalane gnojem widły w pierwszego podoficera *Feldgendarmie*, który mu się pod nie nawinął. To ja byłem tym żandarmem. I wciąż, mimo czterdziestki na karku, zastanawiałem się, czy fakt, że wbił je w stopę, a nie w klatkę piersiową, to błogosławieństwo czy przekleństwo.

Mój ojciec twierdzi, że to pierwsze, ale nie dziwię mu się, bo to przez niego nie poszedłem na wojnę, choć on upiera się, że nie przez niego, a dzięki niemu. Taka subtelna różnica wynikająca z odmiennych perspektyw, z których patrzyliśmy i wciąż patrzymy na tę sprawę, mimo że od tamtej chwili minęło już prawie piętnaście lat.

Dziś już nie jestem żandarmem. Dziś jestem funkcjonariuszem Pruskiej Państwowej Policji Kryminalnej w stopniu *Kriminalinspektora*, dzielącym życie między mieszczącym szczecińskie *Kripostelle* gmachem prezydium policji a wygodnym mieszkaniem przy Kirchplatz, z widokiem na Buchheide. W tym mieszkaniu oprócz mojej gosposi Trudi żyje ze mną Annelise, osiemnastoletnia panna, którą kocham bardziej niż siebie samego. Jej matkę kochałem tak samo, choć w inny sposób. Nie dane nam było przeżyć życia razem, nie tylko dlatego, że zmarła podczas wojny. Powód tego był zupełnie inny, a jej śmierć można określić konsekwencją owego powodu. Był nim jej ojciec.

Bernadette von Bredow poznałem podczas studiów na berlińskim Uniwersytecie Humboldtów. Pech chciał, że ja byłem tylko synem wysokiego urzędnika szczecińskiego garnizonu, a ona córką majątnego arystokraty. Stało się to, co w takich przypadkach dzieje się często, bo natury nie oszukasz, zwłaszcza jeśli masz o niej jeszcze dość blade pojęcie. My nie widzieliśmy problemu, i tak planowaliśmy naszą przyszłość razem, nie wiedząc, że los pokrzyżuje nasze plany.

Wojna światowa zaczęła się co prawda rok po narodzinach Annelise, ale problemy zaczęły się, jeszcze zanim nasza córka pojawiła się na świecie. Rodzina von Bredow,

a w zasadzie jej reprezentant w osobie ojca Bernadette nie pozostawił nam pola do dyskusji, a jedyny wybór, jakiego mogliśmy dokonać, sprowadzał się do tego, czy Annelise trafi do któregoś z berlińskich przytułków dla sierot i zapewne w przyszłości zostanie zakonnicą, czy do domu dziadków w Stettinie, by w przyszłości zostać kimkolwiek będzie chciała. Wybraliśmy tę drugą opcję.

Owa przyszłość właśnie nadeszła, choć Anna nie wiedziała jeszcze, kim chce zostać. Wkrótce czekała ją matura, choć ostatnimi czasy nauka zeszła na dalszy plan, bo moje dziecko wpadło w sidła komunistycznych agitatorów. Jako osóbką wygadana i stawiająca na swoim, mimo moich próśb, grózb i usilnych starań, często znikiała popołudniami i wieczorami, by w towarzystwie swoich młodych przyjaciół planować naprawę świata przeżartego rdzą wyzysku biednych przez bogatych.

Tak wygląda mój świat. Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty pierwszy jest kolejnym rokiem kryzysu po wielkim krachu sprzed dwóch lat, po którym nie podniósł się jeszcze żaden kraj, ale ja ze stałą pracą i dobrym uposażeniem sięgającym czterech i pół tysiąca reichsmarek w zasadzie nie mam powodów do narzekania. Tak naprawdę tym, co oprócz obawy o przyszłość córki doskwiera mi w życiu, są jedynie uciążliwości związane z protezą: odparzenia, otarcia i ból kikuta oraz biodra, które z powodu utykania zaczyna dawać o sobie znać.

Ale szczerze mówiąc, nawet to staje się nieistotne, kiedy co rano, wychodząc do pracy, a potem z niej wracając, widzę Berndta z oficyny, który wysiaduje na chodniku przed naszą kamienicą z tabliczką z napisem: *Weteran spod Verdun*

uprzejmie prosi o modlitwę oraz kilka fenigów. Berndt ma pięćdziesiąt lat, z czego ostatnie czternaście żyje bez twarzy. Zostały z niej tylko oczy i żuchwa z kilkoma zębami, a pośrodku zionie ogromna dziura, przez którą Berndt oddycha i pije, bo o jedzeniu stałych pokarmów nie ma mowy. Twarzy pozbawił go odłamek szrapnela, dwa inne, mikroskopijne, tkwiły wciąż w okolicy płuc i serca, bo lekarze nie mieli odwagi próbować ich stamtąd wyciągnąć. I tak właśnie żyje Berndt, z dnia na dzień, nie mając pewności, czy obudzi się następnego ranka, czy jednak w nocy kawałek metalu przetnie jakieś naczynie i spowoduje, że Berndt się wykrwawi, nawet nie będąc tego świadomym. Daję mu codziennie kilka marek i zagaduję, zadając pytania w taki sposób, by mógł na nie odpowiedzieć ruchem głowy lub machaniem rękami. Spłacam w ten sposób swój dług i gaszę absurdałne wyrzuty sumienia, że nie dane mi było być tam, gdzie Berndt i wielu moich kolegów ze szkoły i studiów. I chyba nawet ta cholerna sztuczna stopa nie jest w stanie sprawić, bym wreszcie się z tym pogodził.

Wyrzuty sumienia potrafią być jak taki odłamek tkwiący w ciele. Boli, jątrzy i przy każdym ruchu przypomina o ich powodzie. Ale przynajmniej da się z tym żyć. Podobno.

W sali panował okropny smród psującego się mięsa, a na szpitalnym łóżku leżał trup. Niby częsty widok w miejscu takim jak to, wiadomo, ale ten, z powodu którego przyjechałem do szpitala miejskiego w Pommerensdorfer Anlagen, był wyjątkowy, bo o ile dla wielu osób pobyt w szpitalu kończy się zgonem, to na pewno nie w taki sposób. Ten mój trup, to znaczy przydzielony mi w ramach sprawy do wyjaśnienia, skończył swój żywot w strasznych okolicznościach.

Stanąłem w drzwiach sali oparty o swoją łaskę i przypatrywałem się mu, mając tuż za plecami Kurta Klingego, pracującego ze mną od miesiąca asystenta kryminalnego. Towarzyszył nam także lekarz, doktor Jung, który wezwał nas do szpitala po odkryciu zwłok przez pielęgniarkę na porannym obchodzie.

Klinge najpierw zbladł, a potem jego twarz zaczęła przybierać różne odcienie: od czerwieni po zielonkawą.

– Wytrwaj, Kurt – poradziłem mu cicho. – To już tylko mięso i kości.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, że szybko pojąłem swój nietakt. Klinge był jeszcze zbyt młody i niedoświadczony, by to zrozumieć. Niewątpliwie jednak właśnie pomogłem mu trochę tego doświadczenia zdobyć. Weszliśmy do środka, na razie nie podchodząc do łóżka.

– Straszna śmierć – mruknął Klinge, odwracając wzrok od trupa.

– A znasz jakąś niestraszną? – zapytałem i zerknąłem na niego.

– We śnie, ze starości – odparł, lekko sploszony.

Teraz spojrzałem na niego z niemalym zaskoczeniem i uznaniem jednocześnie. Albo wykazał się refleksem, albo miał tę kwestię starannie przemyślaną, co jak na takiego młodego oraz, jak zauważyłem wcześniej, niedoświadczonego człowieka było z pewnością czymś wyjątkowym.

Podszedłem do łóżka i pochyliłem się nad ciałem, uważając, by nie wdepnąć w krew rozchlaną na posadzce ani nie zamoczyć w niej czubka laski. Zgęstniała już, była prawie zaschnięta i miała rdzawą barwę. Morderca zdecydowanie nie działał subtelnie. Człowiek niewątpliwie potrafi wykazać się inwencją, jeśli chodzi o sposób zadania śmierci innemu człowiekowi, czyniąc to w dodatku z przeróżnych powodów, ale w takich okolicznościach zwykle stara się załatwić sprawę szybko i w miarę dyskretnie oraz czysto. W tym przypadku brak tego trzeciego był aż nazbyt oczywisty i rzucał się w oczy jak płachta torreadora na arenie do corridy.

Leżący na łóżku starszy mężczyzna wyglądał jak Ho-
lofernes z obrazu Caravaggia, kiedy miecz Judyty jest już mniej więcej w połowie szyi. Tu nie było miecza, ale otwarta rana ukazywała chrząstkę tchawicy i przecięte naczynia krwionośne. To nie mógł być nożyk do obierania kartofli. Nawet myśliwskim ciężko byłoby to zrobić jednym cięciem, i choć fachowcem nie jestem, tak to właśnie wyglądało: jak jedno precyzyjne cięcie. Żadnego krojenia, ciosów na osłep i tym podobnych.

– Czym on to zrobił? – jęknął cicho Klinge, jakby czytał mi w myślach.

– Jeśli to nie był miecz, Kurt, a nie sądzę, żeby w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze paradował po mieście z czymś takim, to stawiałbym na bagniet – powiedziałem.

Przed oczami stanął mi obraz mojego przyjaciela z żandarmerii, Juppa Schinkla. Może to dzięki niemu widły chłopca tuż po tym, jak wyszły z mojej stopy, nie zagłębiły się ponownie w moje ciało gdzieś wyżej. Bagniet na karabinie Juppa zatoczył łuk i rozplątał gardło wieśniaka tuż pod szczęką. Może nie byłem w okopach, ale swoje widziałem. Tylko że siła Juppa wynikała nie wyłącznie ze strachu, ale i z elementarnej fizyki, bo przemnożona była przez długość karabinu. Nie sądziłem, żeby morderca przytachał ze sobą karabin z zatkniętym na lufie bagnietem, wystarczył sam bagniet. Musiał mieć po prostu siłę niedźwiedzia.

Odwróciłem się i spojrzałem na Junga.

– Nie miał ręki? – Wskazałem obandażowany kikut, przytknięty do rozoranego gardła: biały materiał zalany był krwią. – To jakaś świeża sprawa?

– Stracił ją w katastrofie – wyjaśnił doktor.

– Jakiej? – Zmarszczyłem brwi. – Tej lotniczej?

– Tak, właśnie z tego powodu przebywał w szpitalu.

O wypadku maszyny Luft Hansy lecącej z Berlina do Stettina, która dwa dni temu rozbiła się w lesie miejskim Mühlenbeck w okolicach wsi Kolow, trafiły wszystkie gazety. Popatrzyłem smutno na trupa i westchnąłem. Ironia losu. Przeżywasz katastrofę, i to lotniczą, trafiasz do szpitala i nawet pal licha tę rękę, bo zaczynasz z tego wychodzić, a tu nagle... Odruchowo dotknąłem uda nogi z protezą.

– Dlaczego nie przewieziono go do szpitala w Hohenkrugu, skoro wypadek miał miejsce niedaleko Kolow? – zapytałem. – Przecież to o wiele bliżej?

– Nie wiem, czy o wiele, ale w tym przypadku odległość miała mniejsze znaczenie. Wszystkie ofiary, które przeżyły, miały skomplikowane złamania i obrażenia wewnętrzne, jednak nasz szpital ma nowocześniejsze aparaty rentgenowskie, no i personel z pewnością stoi na wyższym poziomie.

Przyjąłem odpowiedź do wiadomości. Nawet jeśli była przechwałką, to decyzje zostały już dawno podjęte, a ich konsekwencje brali na siebie ci, którzy je podjęli, a nie pacjenci.

– Wiadomo, kim jest? – zapytałem, poprawiając się po krótkiej chwili: – To znaczy: był?

– Doktor prawa Wolfgang Schwann, mieszkał w Darmstadt. Tak wynika z dokumentów, które miał przy sobie.

– Żona, rodzina? – indagowałem.

– Jego żona przysłała niedawno telegram, że zjawi się natychmiast, kiedy tylko umożliwią jej to okoliczności.

– I co, zjawiała się?

– Jak do tej pory, nie. – Doktor rozłożył ręce. – Widać okoliczności jednak nie pozwoliły.

Spojrzałem na łóżko. Podejrzałem, że teraz małżonka Schwanna przyjedzie wbrew wszystkim, nawet najbardziej niesprzyjającym okolicznościom, choć z drugiej strony różne rzeczy w życiu widziałem. Nie wszystkie małżeństwa były warte takiego zachodu jak podróż przez pół Rzeszy.

– Ale ktoś dzwonił w jego sprawie – powiedział nagle doktor.

– Dzwonił? – wtrącił się Klinge. – Nie przyjechał?

Spojrzałem na niego, absolutnie bez wyrzutu czy nagany. Zadał dokładnie te same pytania, które przysły mi na myśl, w dodatku w tej samej kolejności. On jednak potraktował moje spojrzenie jak reprimendę: skulił się lekko i zanurkował wzrokiem w swój policyjny notatnik.

– Nie, nie przyjechał, tylko zadzwonił – odparł niepewnie doktor Jung. – Interesowało go, czy Schwann do nas trafił, a potem dopytywał o stan jego zdrowia.

– Przedstawił się?

– Nie, był bardzo zdenerwowany.

– Kiedy to było?

– Niedługo po tym, jak pacjenta przywieziono tu ambulansem, razem z innymi.

– Właśnie, inni... – podchwyciłem. – Ile osób z tej katastrofy tu trafiło?

– Wszyscy, którzy przeżyli, z tego, co mi wiadomo, wyłącznie pasażerowie. W sumie sześć osób: dwie kobiety, które leżą na oddziale żeńskim, i czterech mężczyzn.

– Leżeli na tej samej sali? Pytam o mężczyzn.

– Tak. To znaczy na początku było ich czterech, bo jeden zmarł godzinę po przybyciu.

Nie zapytałem, czy gdyby trafił jednak do Hohenkrugu, miałby większe szanse. Zamiast tego zadałem inne pytanie:

– Gdzie oni teraz są?

– Zostali przeniesieni do sali obok, kiedy tylko pielęgniarka odkryła... – Doktor spojrzał na łóżko, wyciągnął rękę, jakby chciał je wskazać, ale tylko machnął dłonią i na powrót ją opuścił.

Rozumiałem go. Co tu było do pokazywania?

Zerknąłem w bok. Klinge zapomniał chyba o przykrym widoku i z zapalem, a równocześnie w skupieniu, wciąż notował słowa lekarza. Nie miałem kłopotu z ich zapamiętaniem, nikt średnio rozgarnięty by pewnie nie miał, ale chłopak się starał i to mi się podobało.

– Możemy porozmawiać z tą pielęgniarką? – zwróciłem się do doktora. – A potem z pozostałymi pacjentami?

– Oczywiście. – Ten wzruszył ramionami. – Z pielęgniarką nie ma problemu, ale z pacjentów do rozmowy nadaje się jeden.

– Zawsze coś. – Uśmiechnąłem się do Junga pocieszająco. – Jak można się tu dostać?

– Nie rozumiem?

– Do sali, na oddział? Zwłaszcza w nocy?

– Normalnie. Pielęgniarka, jeśli nic się nie dzieje, po prostu śpi.

– A lekarz?

– Lekarz też...

Z lekko stropionego spojrzenia doktora Junga mogłem wnioskować, że to właśnie on mógł być lekarzem, który spał tej nocy na oddziale.

– To teraz porozmawiamy z siostrą, która znalazła ciało. Rozumiem, że to ona miała nocny dyżur?

– Tak, to była siostra Erika. – Jung odetchnął z wyraźną ulgą. – Dzienna zmiana jeszcze wtedy nie przyszła.

– Dobrze, dziękuję za rozmowę. I proszę jeszcze niczego nie ruszać, wkrótce przyjedzie policyjny fotograf oraz ekspert daktyloskopii zdjęć odciski palców. Dopiero potem możecie przenieść ciało do kostnicy.

– Odciski palców? – zdumiał się doktor. – Skąd?

– Z łóżka ofiary, z szafki nocnej. Pobierze je także od pana oraz siostry.

– Nie rozumiem, czy ja jestem o coś podejrzany?

Zdziwiło mnie lekko, że nie zapytał o siostrę. To było lekko egoistyczne, moim zdaniem.

– Chodzi o wykluczenie tych nieistotnych śladów – wyjaśniłem. – Jeśli znajdziemy tam odciski kilku osób, to musimy wiedzieć, które z nich należały do personelu, a które do potencjalnego sprawcy. A teraz może pan poprosić siostrę... Erikę, tak?

– Tak – mruknął Jung, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

Kiedy za nimi zniknął, jego biały kitel powiewał przez chwilę niczym flaga wywieszana na znak poddania. Wrócił po niecałej minucie, którą z Klingem spędziliśmy w milczeniu. Była z nim pielęgniarka, wysoka blondynka w białym fartuchu i takim czepku. Podeszli do nas, Jung dokonał prezentacji, a potem mruknął:

– Zostawię was, mój dyżur dawno się skończył, a mam jeszcze masę roboty.

Wymienił z siostrą krótkie spojrzenia i znów zniknął, tym razem na dobre.

Uśmiechnąłem się do pielęgniarki, żeby ją nieco ośmielić, bo wyglądała na przejętą, a nawet wystraszoną. I w sumie nic dziwnego.

– Nie będziemy siostry długo męczyć, poprosimy tylko o odpowiedzi na kilka pytań i może siostra jechać do domu. To była ciężka noc, prawda?

– A poranek jeszcze gorszy... – Opuściła głowę.

– Wyobrażam sobie. – Postarałem się o współczujący ton. – To może zanim zapytam o dzisiejszą noc, zaczniemy najpierw od ofiary: czy siostra miała okazję z nim rozmawiać?

Pielęgniarka rzuciła spłoszone spojrzenie na zwłoki.

– Tak, rozmawialiśmy kilka razy, kiedy nie spał.

– Mówił coś interesującego?

– Czy ja wiem? – Zaczęła skubać rąbek fartucha. – Był w szoku, że stracił dłoń. Pocieszałam go, że ma szczęście, że w ogóle żyje, bo został ciężko połamany. Nie pamiętał niczego od momentu, w którym wsiadł na pokład samolotu w Berlinie. Pytał, czy powiadomiono jego żonę, pytał też o swoją teczkę. A w zasadzie na odwrót: najpierw o teczkę, potem o żonę.

– Teczke? Czy o bagaż?

– O teczkę. Miał ze sobą teczkę i kiedy mu powiedziałam, że przywieziono go do szpitala tylko w podartym ubraniu, strasznie się zdenerwował. Bagażu nie miał, bo jak zobaczyłam, że się tak przejął, to chciałam mu pomóc. Nie wiem, może zadzwonić na lotnisko, żeby się czegoś dowiedzieć. Powiedział wtedy, że mam nigdzie nie dzwonić, bo on jest w Stettinie pierwszy raz i nikogo tu nie zna.

– Dobrze, przejdźmy dalej. Nie widziała siostra nikogo w nocy?

– Nie.

Odpowiedź była błyskawiczna. Może pielęgniarka spodziewała się tego pytania i miała ją gotową, ale zobaczyłem, że lekko czerwienieje, a jej spojrzenie wędruje w stronę drzwi, za którymi zniknął doktor Jung. Trwało to ułamek sekundy, ale wystarczająco długo, żebym wiedział, gdzie

siostra spędziła noc i dlaczego nie mogła widzieć nikogo oprócz doktora Junga.

– Rozumiem. – Chrząknąłem, choć raczej mijałem się z prawdą.

Siostra Erika była apetyczna jak świeże jabłko z sadu, jeślibym zaś doktora Junga miał również przyrównać do tego owocu, to przypominał raczej takie pozostawione w trawie aż do listopada, albo nawet grudnia. Ale kto wie, może byli jednak niczym dwie połówki tego samego jabłka?

– Cóż, dziękuję siostrze. – Skłoniłem lekko głowę. – Powtórzę raz jeszcze: proszę nie ruszać ciała, aż zajmą się nim nasi koledzy.

– Ale ono zaczyna już... – Urwała.

Miała rację.

Panował skwar, zewsząd dochodziło bzyczenie much, a zapach, jaki wydzielaly zwłoki, wywoływał mdłości, zapewne nawet u kogoś, kto był z nimi obyty.

– Przykro mi, siostro – powiedziałem twardo. – To polecenie, a nie prośba. I chcielibyśmy również porozmawiać z tym pacjentem, który jest w stanie rozmawiać. Doktor Jung wyraził już zgodę.

– Oczywiście. Pójdę sprawdzić, czy nie śpi.

Spuściła wzrok i poprawiła czepek, a potem w milczeniu wyszła na korytarz. My z Klingem z ulgą zrobiliśmy to samo. Siostra Erika odwróciła się nagle, mówiąc:

– Proszę tu poczekać, dobrze?

Jej głos był już pewniejszy i bardziej zdecydowany. Ruszyła korytarzem przed siebie, po chwili otworzyła jedno z drzwi po jego prawej stronie i weszła do środka. W oczekiwaniu na efekty owego sprawdzenia postanowiłem

wymienić jeszcze z Klingem spostrzeżenia i sprawdzić, czy jego są zbieżne z moimi.

– Brak narzędzia zbrodni, ale będę się upierał przy tym bagnecie. Jestem pewien, że nie zrobił tego skalpelem, który sobie stąd pożyczył, a potem umył go i odłożył. Skala obrażeń może świadczyć o tym, że mógł chcieć się zemścić w wyjątkowo wyrafinowany i okrutny sposób. Ryzykował, bo odgłosy takiej śmierci są raczej głośne i zwracają uwagę.

– A może zwróciły, tylko zostały zignorowane – zauważył Klinge i znów zarobił u mnie kolejny punkt.

Z tego chłopaka będą jeszcze ludzie. Gdyby tylko wyzbył się tej płochliwości.

– Raczej się nie bronił. Został zaskoczony we śnie, próbował odruchowo tamować krwotok, ale było już za późno...

Zamyśliłem się. Klinge miał rację co do tego, że to straszna śmierć. Przy tak obfitym wypływie krwi człowiek traci przytomność po kilku, kilkunastu sekundach, ale te, które przeżywa świadomie tuż przed tym, są niewyobrażalną męczarnią. Bólem i świadomością nadejścia nieuniknionego.

– Zobaczymy, co powie jego sąsiad z łóżka obok – powiedziałem, ale nie zdążyłem wymienić z Klingem kolejnych wniosków, bo przerwał mi odgłos otwieranych drzwi.

Siostra Erika wyszła na korytarz i podeszła do nas.

– Pan Hertz obudził się już, ale jest jeszcze wyczerpany po operacji. Prosiłabym panów, żeby to trwało krótko. Pozostali pacjenci też potrzebują spokoju, poza tym śpią.

– Oczywiście, siostro, kilka pytań i zaraz sobie idziemy. – Ponownie uśmiechnąłem się do niej szeroko, ale znów

nie zadziało; widać doktor Jung, kiedy się już uśmiechał, robił to ładniej ode mnie.

Zaprowadziła nas do sali, w której leżał ów Hertz. Kiedy weszliśmy do środka, na łóżku pod ścianą zobaczyliśmy człowieka z nogą na wyciągu. To automatycznie wykluczało go z grona podejrzanych, bo teoretycznie mógł to zrobić któryś z pozostałych pacjentów leżących na sali. Mężczyzna miał spuchniętą twarz, opatrunek na głowie, lewa ręka również była zagipsowana, choć leżała na materacu. Zerknąłem znacząco na siostrę, a ta zrozumiała, o co mi chodzi, i natychmiast opuściła salę. Spojrzałem na Hertza.

– Pan Hertz, prawda? – zapytałem szeptem, a kiedy pokiwał w milczeniu głową, dokonałem prezentacji i wyjaśniłem, w jakim celu tu jesteśmy.

Potem przysunąłem sobie metalowy zydelek i usiadłem na nim tuż obok łóżka. Klinge stał za mną w gotowości bojowej, to jest z notesem w jednej dłoni i ołówkiem w drugiej.

– Nie będziemy pana długo męczyć, mamy tylko kilka pytań – zapewniłem Hertza.

O ile dobrze liczyłem, mówiłem coś takiego już po raz trzeci tego dnia.

– Słucham. – Hertz miał słaby, zachrypnięty głos.

– Widział pan coś w nocy albo słyszał?

– Wydawało mi się, że na salę wchodzi lekarz albo pielęgniarka. Było dość ciemno, ale przez okno wpadało trochę światła księżyca, a była pełnia. Widziałem więc wyraźnie kitel tego człowieka, choć w pierwszej chwili myślałem, że to duch.

– Wydawało się panu?

Stettin, lato 1931 roku. Kriminalinspektor Eilhard Kurtz prowadzi śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa popełnionego w szpitalu. Denat, prawnik z Hesji nazwiskiem Schwann, ocalał z katastrofy lotniczej, która wydarzyła się dwa dni wcześniej w okolicach Stettina.

Wkrótce w identyczny i okrutny sposób ginie węglarz, mieszkający w lesie nieopodal miejsca, gdzie rozbił się lecący z Berlina samolot. W tym samym czasie znika nagle Annelise, córka Kurtza. Dość szybko staje się jasne, że w sprawę w jakiś sposób zamieszany jest Cornelius Schulze, wpływowa postać, szczeciński notabl i członek bojówki NSDAP. Kiedy znika syn znanego, lokalnego przemysłowca, sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. W ręce inspektora wpadają kolejne klocki układanki, ale ktoś uparcie nie chce, żeby Kurtz coś z nich zbudował. Jedno jest pewne: ów ktoś chce odzyskać rzecz, którą w momencie katastrofy miał przy sobie Schwann i która zniknęła tuż po niej. Kurtz orientuje się, że stawka jest wysoka, a gracie bezwzględni.

Czy w mrocznych czasach jest jeszcze miejsce na ludzkie odruchy? Czy to, kto ma rację zależy od pozycji, jaką zajmuje?

cena 49,90 zł

FILIA

Mroczna

ISBN 978-83-8402-240-5



9 788384 022405